

## Prolog

Ponad 700 lat temu w Europie wybuchła epidemia – kataklizm zwany „wielkim pomorem, wielką śmiercią, czarną śmiercią”. Dżuma w średniowieczu zdziesiątkowała ludność. Ponoć dotarła do Europy z Chin poprzez jedwabny szlak. Na Sycylię dotarła w 1347 roku zanesiona przez dwanaście galer genueńskich, skąd szybko rozprzestrzeniła się po całej wyspie.

Z Włoch zaraza szybko przybyła do Europy północno-zachodniej zajmując Francję, Hiszpanię, Portugalię i Wielką Brytanię, po czym zmieniła kierunek ekspansji na wschód docierając do Niemiec i Skandynawii. W roku 1351 dotarła do Rosji.

W zaledwie cztery lata zaraza objęła całą Europę, oszczędzając nieliczne fragmenty Państw – w tym Polskę, Holandię i Belgię. Zaraza zmniejszyła ludność w Europie o ponad czterdzieści procent. Było to w czasach gdzie przepływ ludności nie był tak powszechny jak w czasach teraźniejszych.

Co się stanie z ludzkością gdy któreś z państw postanowi wykorzystać pałeczki dżumy jako broń biologiczną? Po raz pierwszy dżumę jako broń biologiczną wykorzystali przecież Tatarzy w XIX w: do obleganej twierdzy w Kaffa katapultowali zwłoki zmarłych na dżumę. W Mandżurii Japończycy testowali bomby wypełnione zakażonymi pchłami. A nie od dziś wiadomo, że Rosja i Stany Zjednoczone pracują nad bojowym wykorzystaniem dżumy.

W XXIw naukowcom udało się opracować nieuleczalną odmianę tej choroby. Rozpoczęła się III wojna światowa.

W XXIIw rozpylono bakterie nad połową kuli ziemskiej.

## Rozdział I

Od kilku dni jestem nieustannie w drodze. Nie dotarłam do żadnego miasta, dookoła mnie tylko łąki i lasy. Moje zapasy żywności i wody kończą się, nie mam już sił. Nie zmrużyłam oka od czterech dni. Jestem wycieńczona, ale nie mogę sobie pozwolić na sen, nie dopóki nie znajdę bezpiecznej kryjówki.

To nie ludzi się boję. Nie spotkałam żadnego człowieka od prawie dwóch lat, większość nie żyje – część niezarażonych prawdopodobnie mieszka w bezpiecznej strefie. To czego się obawiam to dzikie zwierzęta, które po wybuchu epidemii wyszły z lasów i swoich kryjówek i zaczęły panoszyć się po świecie jak gdyby były panami – w sumie to teraz one rządzą. Najniebezpieczniejsze są zwierzęta, którym udało się uciec z zoo i przetrwały zimę, na wolności zaczęły się rozmnażać i żyć według własnych zasad.

Przebywając pod gołym niebem ryzykowne jest zaśnięcie. Ostatniej nocy nie wytrzymałam i zdrzemnęłam się chwilę, na szczęście w pobliżu nie było żadnej zwierzyny. Sen był krótki i niespokojny, budził

mnie nawet najmniejszy szelest liści. Co prawda mam mojego dzielnego obrońcę, ale sam nie poradziłby sobie z pumą czy niedźwiedziem a ich w tej okolicy jest najwięcej.

Pech – siedzi w koszyku z przodu roweru i patrzy przed siebie, patroluje teren. Jest moim najwierniejszym kompanem, jedynym kompanem. Jest moim przyjacielem i oparciem. To dzięki niemu jeszcze żyję. Pech to piesek rasy Beagle, według mnie ma maksymalnie 3 lata, a razem jesteśmy półtora roku. Znalazłam go w jednym z pierwszych miast do których dotarłam po epidemii, był wycieńczony i wygłodniały przegrywał walkę z lisem. To wtedy po raz pierwszy użyłam broni – żeby zastrzelić lisa. Od tamtej pory jesteśmy nierozłączni. Opatrzyłam jego rany oddałam mu mój ostatni kawałek suszonej kiełbasy, on odwdzieczył mi się tym co u psa jest najcenniejsze jego bezwarunkowym zaufaniem, miłością i wiernością. Nawet w ciężkich chwilach gdy nie mieliśmy co jeść, gdy było przeraźliwie zimno, albo gdy uciekaliśmy przed dzikimi zwierzętami nie zostawił mnie samej.

Nazwałam go Pech, bo faktycznie jest pechowcem. Urodził się w czasach gdy jego pierwsi właściciele umarli w wyniku epidemii dżumy, na jego własnym podwórku został zaatakowany przez lisa – zwierzę na które on sam powinien polować, często jest głodny i spragniony, stracił kawałek swojego prawego ucha walcząc z kotem o jedzenie. Uważam, że jego imię adekwatne jest do sytuacji życiowej w której się znalazł.

Nie mam już sił, nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Już od świtu jadę rowerem, miałam nadzieję, że w końcu dzisiaj po czterech dniach tułaczki dotrę do jakiegoś miasta. Zatrzymuję się na skraju drogi, Pech spogląda na mnie pytająco.

- Nie patrz tak na mnie – mówię do niego z wyrzutem – Muszę trochę odpocząć. Ty cały dzień siedzisz w koszyku, chcesz to możemy zamienić się miejscami – biorę go na ręce i wyciągam z koszyka na trawę.

- Musisz rozprostować nogi Peszku, zrób co masz zrobić, a ja chwilę odpocznę – kładę się na trawę i zamykam oczy.

Mam dosyć, dosyć tułaczki, dosyć samotności, dosyć takiego życia. Najchętniej zasnęłabym i już się nie obudziła, chcę zobaczyć się z rodzicami.

Mamę i tatę zabiła dżuma, pośrednio. Zostali zastrzeleni przez wojskowych, którzy w pierwszych miesiącach po wybuchu epidemii jeździli i zabijali zarażonych, według nich po to by nie dopuścić do rozpowszechnienia się zarazy. Ale z moich obserwacji wynika, że ich działania były bezcelowe. Zaraza zebrała największe żniwa w historii.

Wciąż pamiętam dzień w którym zginęli moi rodzice. Mama była już od kilku dni nieprzytomna i miała problemy z oddychaniem, wysoka temperatura utrzymywała się od prawie tygodnia, było dla nas jasne że zostało jej kilka godzin życia, ojciec był w łagodniejszym stadium. Jeszcze odzyskiwał świadomość. Podczas jednej z takich chwil, gdy robiłam mu zimny okład na czoło, dostał wiadomość na krótkofalówkę, że zbliża się wojsko. Złapał mnie za rękę i powiedział: - Schowaj się za oknem we wnęce, nie wychodź stamtąd choćby nie wiem co się działo, nie odzywaj się i nie dawaj znaku życia. Gdy odjadą odczekaj jeszcze kilka godzin, najlepiej noc, wyjdź zapakuj najpotrzebniejsze rzeczy i uciekaj na zachód. Nie daj się złapać.

- A co z Sabiną? Ona nie zmieści się ze mną w tej wnęce.

- Sabinka schowa się w komórce pod schodami, jej nic nie będzie, ważne żebyś zatroszczyła się o siebie. Obiecuj mi to – patrzył na mnie wylupiastymi, przekrwionymi oczami z zaciętą miną, jakby od tego miało zależeć istnienie świata. Mama głośno charczała na łóżku obok, Sabina weszła do pokoju z miską zimnej wody. - Obiecuj – powtórzył – Nikomu nie mów ile masz lat, nikomu nie ufaj. A jak będzie bezpiecznie to tu wrócisz i odnajdziesz kapsułę. Obiecuj – tata zaczął się niespokojnie wiercić. Nagle zaczął wymiotować krwią. Szybko podałam mu wiaderko, niestety moje ubranie było już całe w krwi. - Obiecuj – wychrypiał między konwulsjami.

- Obiecuję – powiedziałam, chociaż nie miałam pojęcia co miał na myśli. Zaczynałam podejrzewać że majaczy.

- Schowajcie się. - wyszeptał – Kocham was obie. Sabinko, ty idź szybko do komórki i obie siedźcie cicho – mówiąc to znacząco popatrzył w stronę mojej siostry, ona odpowiedziała skinieniem głowy. - Już – ścisnął moją dłoń i stracił przytomność.

Stałam zszokowana tym co przed chwilą usłyszałam patrząc to na ojca majającego przez sen to na siostrę stojącą nieruchomo i wpatrującą się we mnie intensywnie.

- Musimy zrobić to co kazał tata – powiedziała w końcu. Ma dopiero czternaście lat pomyślałam, ale w tej chwili jej oczy wyglądają na kogoś dwadzieścia lat starszego.

- Wiesz o czym mówił tata? - zapytałam – Nie pozwolę aby coś ci się stało – łzy zaczęły mi spływać po policzkach.

Sabina okrążyła łóżko i stanęła obok mnie, rzuciłyśmy się sobie w ramiona – Nic mi nie będzie. - wyszeptała – Robimy tak jak kazał tata. Musimy być silne. Nie rób głupstw. - oderwała się ode mnie i popatrzyła mi w oczy (mimo iż jest ode mnie młodsza o dwa lata dorównuje mi wzrostem) – Obiecuj. - powtórzyła słowa ojca.

Kocham cię. - powiedziałam

Usłyszałyśmy zbliżające się do domu auto, obie jednocześnie doskoczyłyśmy do okna. - Musimy się ukryć – zawołała i pobiegła w stronę drzwi nie odwracając się do mnie.

Rzucając ostatnie spojrzenie w stronę łóżka i moich ledwie żywych rodziców wyszłam z sypialni i skierowałam się do przyległego pokoju, który kiedyś pełnił funkcję garderoby. Na wprost znajduje się niewielkie okienko, jako jedyne zamyka się z obydwóch stron i ma wyjmowaną klamkę.

Zanim je otwierałam upewniłam się że na dworze nikt nie stoi z tej strony domu. Usłyszałam walenie do drzwi – zaraz tu wejdą – pomyślałam i szybko wyszłam na małe parapet za oknem. Jest tu dosyć wąsko, a okno znajduje się na piętrze, na dole tata wylał beton. Jeżeli bym spadła zginę na miejscu. Na szczęście tata od kilku lat uczył mnie jak bez trudu dostać się do małej wnęki, która oddziela sypialnię rodziców od garderoby. Teraz zaczyna to nabierać sensu. Z parapetu długim krokiem do trójśczebłowej drabinki i bokiem do wnęki. Jest tu ciasno muszę leżeć bokiem, a głową dotykać muru z drugiej strony, żeby nogi mi nie wystawały.

Na szczęście obróciłam się w stronę sypialni, jest tutaj fałszywy kontakt przez, którego dziurki widzę łóżko i rodziców. Zaczynam nasłuchiwać. Mija kilka minut zanim drzwi pokoju otwierają się z hukiem i

do pokoju wpada trzech mężczyzn w mundurach i specjalnych maskach.

- Znaleźliśmy dwoje zarażonych! – woła ten stojący najbliżej drzwi - Chyba są już w końcowym stadium.  
- Jeden z mężczyzn podchodzi do łóżka i sprawdza źrenice najpierw matce, a później ojcu.

Do pokoju wchodzi kolejny mężczyzna z siwymi włosami wystającymi spod czapki. - Przeszukajcie resztę pomieszczeń – rozkazuje dwóm stojącym najbliżej drzwi. - Co z nimi? - zwraca się do trzeciego kiwając jednocześnie brodą w stronę rodziców.

- Kobieta już jest w końcowej fazie, mężczyzna jeszcze będzie mógł mówić. - odpowiada sprawdzając jednocześnie tętno mojego ojca.

- Dobrze. Ocuć go. - rozkazuje dowódca. Medyk wyciąga coś z kieszeni i przykłada mojemu ojcu pod nos. Przez chwilę nic się nie dzieje, aż nagle tata zaczyna kaszleć i otwiera oczy.

- Jak się nazywasz? - pyta się dowódca stając naprzeciw łóżka, tak że zasłania mi rodziców.

- Karol – charczy tata – Karol Majewski. Mam 42 lata, to moja żona Jola, też ma 42 lata. Jesteśmy chorzy – tata recytuje jak mantrę – Pracowałem jako elektryk w pobliskiej fabryce, żona zajmowała się domem i dziećmi. Teraz jesteśmy sami.

- Gdzie są twoje dzieci? - przerywa mu dowódca – według akt masz trójkę.

- Dwójkę – poprawia go ojciec – córkę i syna.

Wojskowy sprawdza coś w swoim tablecie – Tutaj jest napisane że masz syna lat 18, córkę lat 17, i jeszcze jedną córkę lat 14. Píše, że wszystkie dzieci nie chorowały... aaa, starsza córka miała wypadek?

- Tak – podchwytuje tata – Rok temu. Została napadnięta i zabita – wzdycha. - Z synem nie wiem co się dzieje. Był na studiach od początku epidemii nie mam z nim kontaktu, córce kazałem odejść gdy dowiedziałem się, że jesteśmy chorzy. Była zdrowa.

- Rozumie – mężczyzna bazgroli coś na urzędzeniu – W aktach nie ma informacji że starsza córka nie żyje. Uzupełnię. Dziękuję za współpracę.

Gdy mundurowy mówił na korytarzu zrobiło się jakieś zamieszanie, po chwili do sypialni wszedł inny żołnierz prowadzący moją siostrę.

- Znaleźliśmy ją, chowającą się w skrytce pod schodami – od razu podszedł do niej medyk i zaczął ją badać. - Zdrowa – oznajmił.

Dowódca podszedł do Sabiny i przyjrzał jej się uważnie po czym uderzył ją w twarz – Okłamałeś mnie – zwrócił się do ojca – Mnie się nie kłamie, wyjął z kabury pistolet, odbezpieczył go i wycelował w moją siostrę – Ona jest zdrowa – powiedział, po czym strzelił w głowę mojej mamy.

Poczułam jak po policzkach spływają mi łzy, nie mogłam złapać oddechu. Wszystko dzieje się tak szybko, a ja nic nie rozumiem.

- Nie – zawyła Sabina, tata, zaczął głośno dyszeć – Nie – powtórzyła – tata pana nie okłamał. On nie wie-

dział że ja się schowałam w domu. Nie chciałam ich zostawiać samych. Nie mogłam – moja siostra zaczęła kłamać.

- No dobrze. Jak masz na imię i ile masz lat? - zapytał mężczyzna

- Sabina, mam 14 lat, uczę się jeszcze. Ja się nie zaraziłam, jestem zdrowa.

- To widzę. - przerwał jej – masz jakieś rodzeństwo?

- Tak. Chyba... tzn mam brata ma 18 lat, ma na imię Łukasz i studiuje fizykę. Nie wiem co z nim jest, czy żyje czy jest zdrowy. Boję się o niego. Mam tylko jego. - podniosła głowę i patrząc żołnierzowi prosto w oczy powiedziała – siostrę straciłam w ubiegłym roku. Zabili ją – skończyła. Spuściła wzrok i zaczęła płakać.

- Skoro tak twierdzicie. Moi ludzie i tak przeszukają dom i teren wokół niego. Jeżeli ktoś tu się jeszcze kryje to go znajdziemy. - Skinął głową w kierunku medyka i innego żołnierza stojącego przy drzwiach.

- Ty – zwrócił się w kierunku Sabiny – pojedziesz do strefy bezpieczeństwa, tam zostaniesz jeszcze raz przesłuchana i poznasz swoje prawa i obowiązki. Wyprowadź ją – po czym zwrócił się do swojego ojca. - Co do ciebie. Jesteś chory i za kilka dni i tak byś marł a my nie mamy czasu jeździć tam i z powrotem dlatego zginiesz już dzisiaj. To mój prezent dla ciebie. Przynajmniej nie będziesz cierpieć. Dziękuję za współpracę – wymierzył pistolet w głowę ojca i strzelił.

Zamknęłam oczy. Musiałam użyć całej siły woli żeby nie krzyżeć. Usłyszałam jeszcze jak dowódca kazał wynieść i spalić ciała, pokręcił się jeszcze chwilę po pokoju i wyszedł.

Leżałam tak w otępieniu nie wiem jak długo, przeszukali dom, ale mnie nie znaleźli, podpalili ciała, zapakowali moją siostrę i ruszyli dalej. Czułam swąd palących się ciał moich rodziców, a może sąsiadów. Leżałam, a myśli kotłowały mi się w głowie.

Dlaczego mój tata skłamał na mój temat, dlaczego Sabina kłamała na mój temat i skąd wiedziała co ma mówić. Co się dzieje z moim bratem, czy żyje, czy też go zastrzelili i spalili tak jak naszych rodziców. Co teraz ze mną będzie?

## Rozdział II

Zasnęłam, nawet nie wiem kiedy. Obudziło mnie coś mokrego i ciepłego – to Pech lizał mnie po twarzy.

- No piesku czas na nas. Nie wiem kiedy dotrzemy do jakiś zabudowań, a jestem coraz bardziej wycieńczona. - Powoli zaczęłam podnosić się z trawy i przeciągać się. Gdy stanęłam na palcach i otworzyłam oczy zobaczyłam pole kukurydzy a za nim majaczące w oddali dachy budynków. - Peszku, mamy szczęście – zobacz tam są jakieś budynki, może będziemy mogli tam przenocować. A jeżeli będziemy mieć naprawdę dużo szczęścia to znajdziemy tam coś do jedzenia. - Szybko zapakowałam psa do koszyka i

ruszyłam w poszukiwaniu drogi dojazdowej do budynków.

Na szczęście nie musiałam długo szukać, kilka kilometrów dalej znalazłam nieutwardzoną drogę, która jak się z czasem okazało prowadziła do niewielkiego gospodarstwa. Wokół były zarośnięte poletka kukurydzy i ziemniaków.

Domek otaczał zapuszczony ogród, gdzieś tam rosły jeszcze kwiaty, ale w większości zdziczał. Zsiadłam z roweru i wyjęłam Pecha z koszyka, który zaczął intensywnie obwąchiwać wszystko wokoło. Postanowiłam rozejrzeć się po okolicy.

Za domem musiał być kiedyś warzywniak, teraz był to jedynie zarośnięty trawą i chwastami kawałek na, którym na szczęście rosły jeszcze zdziczałe warzywa.

- Zobacz Pech będziemy mieli ucztę. - W „ogródku” rosły, marchewki, buraki, cebulka, ogórki i dynie. Nie mogłam się napatrzeć na te cuda, które się tu skryły, czułam że zabawimy tu na dłużej.

Gdy tak stałam i podziwiałam widoki usłyszałam ujadanie psa, szybko wyjęłam nóż z pokrowca przy spodniach i biegiem udałam się w stronę z której dochodziło szczekanie. Znalazłam się obok dwóch budynków gospodarczych jeden przypominał stodołę a drugi oborę. Nie miałam czasu się zatrzymać i zobaczyć co znajduje się w środku Pech szczekał głośno, a prócz jego ujadania było słychać jakiś inny dźwięk. Im bardziej zbliżałam się do psa tym wyraźniejszy stawał się ten drugi dźwięk, przystanąłam na chwilę, żeby lepiej skupić swój głos. Po chwili do mnie dotarło, tym tłem dla szczekania było gdakanie.

- To kury! - krzyknęłam – Pech zostaw te biedne kurczaki! - biegłam ile sił w nogach, żeby powstrzymać psa przed zmasakrowaniem naszego dobrodziejstwa. - Pech! Nie wolno! Nie dobry pies. - skoczyłam do psa i zaczęłam odciągać go za obrozę – Pech! Zostaw je! Spokój! Zostaw! - Siłowałam się z psem. Taki mały, ale siły ma jak wielkie bydle.

Gdy w końcu udało mi się go uspokoić rozejrzałam się i dostrzegłam trzy kury biegające po ogródku. Wystraszone nie mogły znaleźć sobie miejsca. Biedne pomyślałam od kilku lat nikt im nie przeszkadzał, aż ty nagle jakiś wariat zaczyna je gonić. - Och Pech! Nie zjedz ich. Będziemy mieć jajka. - wciąż trzymając psa na rękach wróciłam, żeby rozejrzeć się po reszcie posiadłości. Aż nie mogłam uwierzyć we własne szczęście.

Weszłam do budynku po mojej prawej stronie, wyglądającego jak obora, drzwi były uchylone. Wchodząc odrzucił mnie zapach rozkładu, to resztki padłego bydła. Przyglądając się dokładniej zauważyłam, że najprawdopodobniej zostało rozszarpane przez dzikie zwierzęta. Jak najszybciej wyszłam zatrząskując za sobą drzwi i wdychając świeże powietrze.

Przed wejściem do drugiego budynku wzięłam kilka głębokich wdechów, otwarłam drzwi. Tak jak podejrzewałam to była stodoła. Zrobiłam kilka kroków do przodu, Pech zaczął wrywać się z mojego uścisku i szczekać. Poczułam jak coś ociera mi się o nogi, spojrzałam w dół i zobaczyłam myszy. Wszędzie myszy całe setki uciekające i chowające się do swoich norek, zakopujących się w słomie. Stodoła cuchnęła odchodami i stęchlizną, nie było tutaj nic prócz starej słomy, myszy i ich odchodów.

Wyszłam z budynku i udałam się w stronę trzeciego, który był domem. Dochodząc do drzwi zauważyłam studnię abisyńską. - Mam nadzieję, że działa – powiedziałam puszczając Pecha i podchodząc do studni. Złapałam dźwignię i zaczęłam poruszać nią w górę i w dół. Szła ciężko musiałam pomóc sobie drugą

ręką, po kilku pchnięciach z wylotu zaczęła lecieć woda. - Pech! Wiesz co to znaczy? Mamy co pić, mamy co jeść a jak dobrze pójdzie to będziemy mieli gdzie spać. Chodź sprawdzimy dom.

Zostawiłam studnię za sobą, przywołałam psa do nogi i razem ruszyliśmy w kierunku domu. Z zewnątrz wyglądał na opuszczony, pozamykane i zabrudzone gregoriańskie okna, wokół cisza i spokój. Dom i inne budynki gospodarcze były zrobione z palonych cegieł. Miały dachówkę w ciemnobrązowym kolorze, z rynien wyrastała trawa. Dach był skośny, a budynek piętrowy, bez balkonu. Weszłam po trzech stopniach prowadzących na ganek. Podeszłam do okna i zajrzałam do środka, niewiele było widać bo okna były strasznie zabrudzone. Pech obwąchiwał każdy drewniany szczebel balustrady otaczającej werandę. Podeszłam do drzwi i nacisnęłam na klamkę, tak jak się spodziewałam drzwi od razu puściły. Z głośnym skrzypieniem otworzyłam je na oścież, wpuszczając do domku trochę zachodzącego słońca.

W domu wyczuwało się zapach stęchlizny i kurzu. W każdym kącie pająki uprzedły pajęczynę. Pokój do którego weszłam był duży, po jednej stronie z dużym dębowym, owalnym stołem i sześcioma krzesłami wokół, gablotą z ciemnego drewna i w dalszej części przejściem do innego pomieszczenia, podejrzewam, że do kuchni. Z drugiej strony z kanapą, teraz zjedzoną przez mole i brudną od kurzu, fotelem i stolikiem kawowym umieszczonymi na środku tej części pokoju przed kominkiem. Na przeciw drzwi były schody prowadzące na górę, a po obu ich stronach kolejne drzwi.

Zrobiłam kilka kroków do przodu, drewniana podłoga zaskrzypiała pod moimi dziurawymi butami a odrobinki kurzu uniosły się i zaczęły tańczyć w świetle zachodzącego słońca. Na ścianach znajdowała się zniszczona wzorzysta tapeta, a na podłodze przy kominku leżał wypłowiały dywan.

Pech dołączył do mnie i nieśmiało węszył unosząc łebek wysoko. Powoli stawiał kroki i ruszył na zwiedzanie domu, postanowiłam pójść w jego ślady. Przeszłam przez część jadalną, kątem oka dostrzegłam, że w gablocie były poukładane porcelanowe talerze i kryształowe szklanki. Pchnęłam wahadłowe drzwi i moim oczom ukazała się kuchnia.

Kuchnia była duża i w kształcie odwróconej litery „u” na środku była wyspa, a w prawym rogu był niewielka węglowa blacha. Stylistyka była zachowana na wzór starodawnej wsi. Szafki były jasne, może kiedyś białe, teraz wyblakłe i zakurzone. W kuchni śmierdziało zepsutym jedzeniem, pleśnią i zjełczalym masłem, nawet po tak długim czasie. Po podłodze i meblach chodziły karaluchy a na szafkach i ścianach pełno było mot. Podeszłam do szafek i otwierałam pierwszą były tam garnki i patelnie, i kolejną i kolejną, po kolei aż doszłam do ostatniej. Znalezione jedzenie wyciągnęłam i poukładałam na blacie.

Znalazłam całkiem sporo zdatnego jeszcze do użytku jedzenie. Kilka konserw, płatki owsiane – jeszcze nie rozpakowane, suszona wołowina, kilka opakowań makaronu i ryżu, groch, soczewica, słoik z pulpetami i gołąbkami, olej, kilka paczek ciastek i chipsów, herbata i kawa. Jedna z szafek pełniła funkcję barku, była pełna wszelkiego rodzaju alkoholu – jeszcze nigdy nie piłam, nie miałam okazji, gdy zaczęła się epidemia miałam niecałe szesnaście lat. *Hmm... jeżeli będę tu w moje urodziny to spróbuję któreś z tych nalewek* – pomyślałam. W końcu za kilka tygodni kończę 18lat.

Gdy oglądałam swoje zdobycze Pech podszedł do mnie i trącił mnie nosem – Zobacz piesku, mamy szczęście, tyle jedzenia. Będziemy tu mogli zostać na dłużej. - podeszłam do wyspy i pokazałam mu paczkę – Tu jest nawet coś dla ciebie. - Podrapałam go za uchem – Co prawda to kocia karma, ale mam nadzieję że będzie ci smakować. Jest jej tu tyle, że wystarczy by przetrwać zimę. Chodź idziemy dalej zwiedzać – odłożyłam paczkę z powrotem i ruszyłam w stronę pokoju.

Podeszłam do pierwszych drzwi obok schodów. Otworzyłam je, okazało się że była to łazienka. Prysznic i ubikacja. Niestety nie będę mogła z tego skorzystać bo wodociągi już dawno przestały doprowadzać wodę do domostw. Chyba, że użyję wiadra i wody ze studni.

Jedyne co mnie tu zainteresowało to szafka z lekami. Było dosyć sporo różnego rodzaju leków, w większości przeterminowanych, na kilku fiolkach z lekami przeciwbólowymi i antybiotykami była data przyszloroczna. Pod schodami znajdowała się komoda, w której znalazłam ręczniki i poszewki na pościel. Przeszłam na drugą stronę schodów, tam także pod schodami stała komoda a w niej koce, kołdra i poduszki. - Zobacz Pech będziemy mieli pod czym spać – przeszłam pod drugie drzwi. Otworzyłam je i – Och!- Krzyknęłam – Piesku zostajemy! - Okazało się że jest to sporych rozmiarów spiżarnia. - Widocznie mieszkańcy sądzili że dzięki zapasom uda im się przeżyć – Szeptalam do siebie.

W spiżarni panował półmrok – nie było tu okna, jedyne światło jakie tu wpadało to z otwartych drzwi naprzeciw. Zdjęłam plecak i wyciągnęłam z niego latarkę, załączyłam ją i skierowałam w kierunku przeciwległej ściany. Dookoła przy ścianach były poustawiane regały a na nich paczki długoterminowej żywności, środki kosmetyczne i chemiczne, ściany papieru toaletowego, chusteczek nawilżających i ręczników papierowych.

- Pech! Jesteśmy szczęściarzami! - podeszłam do pierwszego regału, a na nim paczki chlebka ryżowego, sucharki, maślane ciasteczka, paluszki, chrupki kukurydziane, chipsy, krem czekoladowy, batoniki musli, płatki kukurydziane i owsiane, kasza i grysik. Regał obok: makarony, ryż, soja, tofu, groch, fasola, przyprawy i zioła, olej, oliwa, ocet, mąka, cukier, sól, kawa, herbaty owocowe i ziołowe, herbaty granulowane, mleko w proszku, nawet mleko modyfikowane. Na następnych były słoiki z zaprawami (ogórki, pikle, grzybki, pomidory, marchewki, sałatki, kapusta dżemy, kompoty, soki), miód, puszki z konserwami, parówkami, kukurydzą, groszkiem, fasolą, owocami. Słoiki mięsne (pulpety, gołąbki, gulasz, paszety i szynki), suszona wołowina i kabanosy, stosy wody mineralnej soków w kartonach i oranżad. Karma dla kota, i psa – Zobacz Pech! Jest tu też coś specjalnie dla ciebie – powiedziałam, czując jednocześnie, że uśmiech nie schodzi mi z twarzy.

Byłam w doskonale zaopatrzonej spiżarni, stojąc tu wiedziałam, że nie będziemy z Pechem chodzić głodni przez co najmniej kilka miesięcy. Było tu wszystko łącznie z suplementami diety, pastami i szczoteczkami do zębów, żelami, mydłami, szamponami i podpaskami, i tamponami. W rogu stał regał rogowy wypełniony latarkami i bateriami, świeczkami, zapałkami i lampkami solarnymi i naftowymi. Była nawet półka dla małych dzieci, gdzie poukładane były, pieluszki, smoczki butelki i kosmetyki do pielęgnacji niemowląt.

Wiedziałam że mam jeszcze trochę do zobaczenia, ale nie mogłam odwrócić oczu od tych stosów jedzenia. W końcu wzięłam butelkę z wodą i paczkę z paluchami kukurydzianymi a Pechowi dałam jeden z przysmaków dla psów i ruszyłam na dalszą ekspansję domu.

Postanowiłam udać się na górę, tam znalazłam sypialnię z dużą łazienką w której stała zachęcająco wyglądająca wanna i sporą garderobą, w której po krótkich oględzinach znalazłam sporo nowych ubrań z metkami w różnych rozmiarach. Po chwili przeglądania ich stwierdziłam, że wrócę tu później. Znalazłam jeszcze trzy mniejsze pokoje, w których stały łóżka polowe i nierozpakowane dmuchane materace z nowymi kompletami pościeli. Po sprawdzeniu każdego pokoju, zeszłam na dół, żeby pomyśleć od czego zacząć.

Pech leżał w drzwiach obgryzając z zadowoleniem przysmak i wygrzewając się w promieniach za-



chodzącego jesiennego słońca. Usiadłam na tapczanie, był zaskakująco wygodny, musiałam poukładać sobie w głowie dzisiejszy dzień.

W końcu, po czterech dniach wędrówki i poszukiwaniu jakichkolwiek śladów starej cywilizacji udało mi się dotrzeć do domu przypominającego swoim zaopatrzeniem bunkier. Ani śladu życia właścicieli, zresztą uderzający jest tutaj brak rzeczy osobistych, nie ma zdjęć, własnych kosmetyków, czy ulubionych czasopism. Jedynie przy kominku leży stusek gazet, służący jako rozpałka.

Ciekawe co się stało z mieszkańcami tego gospodarstwa. Czy przeżyli i mieszkają w strefie bezpieczeństwa, czy może żołnierze znaleźli ich umierających i zakończyli ich męki tak jak moim rodzicom. Kim byli i skąd wiedzieli, że zbliża się zagrożenie. Musieli wiedzieć, bo kto normalny robi takie zapasy? Czy naprawdę nie ma, poza granicami strefy żadnej żywej osoby? Jakim cudem mnie udało się przeżyć tyle czasu tutaj w tej dzikiej sferze?

Wiem jak, odpowiedź jest prosta – mój ojciec. Dorastałam w czasie III wojny światowej, co prawda nas nie dosięgła ona bezpośrednio, ale kryzys gospodarczy był odczuwalny na całym świecie. Nie mieliśmy lekko, tata zarabiał marne grosze w fabryce produkującej plastikowe elementy zbrojne dla wojska. Żeby wystarczyć na utrzymanie rodziny pracował siedem dni w tygodniu po dwanaście godzin.

Do domu wracał po piątej i wtedy zajmował się męskimi rzeczami, a ja dotrzymywałam mu towarzystwa i uczyłam się wszystkiego co mi mówił. I tak było przez dziesięć lat, aż do epidemii. Mama nie była zadowolona z tego, że tata uczy mnie tych wszystkich rzeczy, według niej powinnam siedzieć z nią i siostrą i uczyć się kobiecych umiejętności. Trochę tak jakbyśmy żyli w XX wieku.

U rodziców podział ról był bardzo widoczny: tata – zarabiał pieniądze i zajmował się pracami około domowymi, mama – wychowywała nas, gotowała, sprzątała i zajmowała się gospodarstwem. III wojna cofnęła wiele miast o dwa wieki wstecz. Z nowoczesnych metropolii stały się średnio-rozwinętymi miasteczkami. Cywile nie korzystali z nowoczesnej technologii to co, według historii, w XXI wieku było normą (tablety, smartfony, internet, GPS) w XXII w zostało zarezerwowane na wyłączne usługi wojsk. Każdy, kto w jakiś sposób połączył się z siecią był namierzany przez służby specjalne, co było równoznaczne z zostaniem kryminalistą.

Niektórzy posiadali telefony stacjonarne, nas nie było na to stać z najbliższymi kontaktowaliśmy się przez krótkofalówki. Telewizja, która była bardzo popularna w XXI wieku wiek później była dobrem luksusowym. Sąsiedzi mieli telewizor i pozwalali nam raz w miesiącu przyjść popatrzeć na wiadomości. W podręcznikach do historii XXI w czytałam, że w tamtych czasach w każdym gospodarstwie domowym był przynajmniej jeden odbiornik TV, a niektórzy mieli tyle ile osób mieszkało w domu, albo po jednym na pomieszczenie.

Nauczyciele i ojciec mówili że pęd XXI wieku był zgubny i to właśnie chęć posiadania coraz to większej ilości coraz lepszych produktów doprowadziła do wojny. Cudem uniknęliśmy zagłady atomowej. Chociaż epidemia dżumy zabiła tych, którzy przeżyli wojnę.

Tak więc ja, zamiast siedzieć przed telewizorem czy komputerem spędzałam te godziny z tatą ucząc się jak przetrwać gdybym została sama. To tata nauczył mnie jazdy na rowerze, nauczył mnie pływać i wspinać się. Pokazał jak racjonować żywność, żeby została na jak najdłużej. Nauczył mnie rzucać celnie nożem i zadawać nim celne ciosy (to od niego dostałam mojego Fatcata<sup>1</sup>), nauczył mnie jak strzelać, jak zabić zwierzynę, a następnie oskórować i wywnętrzyć. Zabierał mnie na ryby i pokazał jak je oporządzać,

chodziłam z nim na grzyby i nauczyłam się odróżniać te dobre od trujących. Jak iść, biec, jechać rowerem, aby móc pokonać jak najdłuższy dystans. Jak być twardym i nie okazywać słabości. Pokazał mi jak kochać.

Mama nie okazywała uczuć, była w tym raczej powściągliwa, moja siostra i brat odziedziczyli po niej tę cechę charakteru, ja jestem podobna do ojca – gdy trzeba potrafię trzymać uczucia na wodzy, ale gdybym mogła uzewnętrznić je.

Mama także nauczyła mnie wielu rzeczy dzięki którym jestem w stanie teraz przetrwać, pewnie zrobiła to nieświadomie. Nie wspierała ojca w jego „wariactwie” - tak to określała. Często z tego powodu się kłócili, zwłaszcza w ciągu ostatnich dwóch lat ich życia. Mama nauczyła mnie gotować (pokazała jak zrobić coś jadalnego z niczego), nauczyła mnie szyć i cerować, opatrywać rany, leczyć się domowymi sposobami, jak być cierpliwym. Nauczyła mnie też gry na fortepianie, chociaż ta umiejętność przez ostatnie dwa lata nie była mi do niczego potrzebna.

Od urodzenia mnie i mojemu rodzeństwu wpajali wartości moralne, uczyli odróżniać dobro od zła i decydować kiedy ważniejsze jest dobro grupy nad dobrem jednostki, a kiedy odwrotnie. Oni pilnowali abyśmy nauczyli się płynnie mówić w trzech językach i znali chociaż podstawy geografii, biologii i chemii.

Tak strasznie za nimi tęsknię. Tak chciałabym, żeby tu byli przytulili mnie i powiedzieli, że wszystko się jakoś ułoży. Że to wszystko wkrótce się skończy a ja spotkam się z Sabiną i Łukaszem. Że spotkam jakiegokolwiek człowieka.

Obudził mnie przeraźliwy chłód. Nawet nie wiem kiedy zasnęłam. W pokoju panuje grobowa cisza i jest tak ciemno że nie widzę czubka własnego nosa. Przy stopach czuję szorstkie futerko Pecha, oddycha miarowo śpiąc. Rozglądając się zauważyłam że drzwi na dwór są cały czas otwarte – nie mądre posunięcie zważając na to co czai się na zewnątrz.

Ręką odszukałam latarkę i ją załączyłam. Podeszłam do drzwi i stanęłam w progu patrząc w jaśniejący na niebie księżyc. Może tu powinnam się osiedlić i przeczekać, aż to wszystko minie. Doprowadziłabym do porządku pola i ogródek i żyłabym razem z psem u boku, dopóki... *Dopóki co, odnajdzie mnie ktoś żywy i zdrowy? Wypuszczą zdrowych zza bram, żeby z powrotem zasiedlili świat? Dopóki nie umrę...?* Muszę to przemyśleć, a będę miała na to dużo czasu, za kilka dni zacznie się październik a od niego do zimy to za ledwie kroczy. Tutaj mam zapasy, dach nad głową i ogrzewanie nie będę ryzykowała dalszej podróży, a nie wiem czy trafię w drugie tak dobrze wyposażone miejsce.

Pierwszą zimę, tę zaraz po śmierci rodziców, spędziłam w miasteczku oddalonym kilka kilometrów od mojego domu rodzinnego. Było już całkiem opuszczone, więc było mniejsze ryzyko że zjawią się żołnierze. Spałam w supermarkecie. Wtedy jeszcze był prąd i bieżąca woda. Większość towarów była także zdatna do użytku, wychodziłam stamtąd tylko na krótkie spacerki. Pod koniec zimy odcięli prąd i wodę, więc musiałam szukać domku z kominkiem.

Ostatnia zima była okropna przynajmniej co tydzień szukałam innego lokum. Żaden dom, żadne mieszkanie nie miało odpowiedniej ilości zapasów żywnościowych. Większość sklepów została splądrowana, najpierw przez umierających ludzi a następnie przez dziką zwierzynę. Były wtedy chwile w których myślałam, że już nie dotrąm do wiosny. Na szczęście towarzyszył mi Pech, który ogrzewał mnie gdy zabrakło drewna i swoim radosnym usposobieniem podtrzymywał mnie na duchu. Często wtedy

chodziliśmy głodni. Na koniec rozchorowałam się poważnie. Miałam wysoką temperaturę, dreszcze, nie byłam w stanie wstać na nogach. Gdyby nie pech, który zmusił mnie do chodzenia puki nie dotarliśmy do apteki pewnie bym nie żyła.

### Rozdział III

Mimo niewielkiej ilości snu, postanowiłam nie wracać na tapczan, poszłam do kuchni z zamiarem przygotowania sobie śniadania. Przechodząc przez pokój skierowałam wzrok na psa, spał sobie spokojnie, oddychając miarowo. Kochany piesek, jemu też będzie tu dobrze. Weszłam do spiżarni, znalazłam półkę z oświetleniem i wzięłam jedną z lamp naftowych na podłodze odnalazłam zbiorniki z paliwem. Napełniłam lampę i odpaliłam. Lampka rozbłysła dając trochę ciepłego światła. Zabrałam ze sobą zapałki i butelkę wody, i wyszłam.

W kuchni podeszłam do pieca, cały czas oświetlając sobie drogę lampką. Z boku znalazłam wiaderko z węglem i kilka szczap drewna. Zabrałam się za rozpalanie ognia. Po kilku chwilach i kilkunastu zabitych karaluchach udało mi się rozpaść. W kuchni od razu zrobiło się przyjemnie ciepło. Miałam ochotę na jajecznicę, ale na dworze wciąż było ciepło, a nie mądrze byłoby wychodzić w ciemność nie wiedząc co może kryć się w pobliskim lesie. Muszę się zadowolić tym co jest w domu.

W końcu zdecydowałam się na pulpety ze słoika. Garnki, szklanki i talerze były całe skurzone, a nie chciałam marnować wody pitnej na mycie ich więc wytarłam je tylko papierowym ręcznikiem i zabrałam się za gotowanie – to znaczy przełożyłam pulpety ze słoika do garnka i postawiłam na piecu. Wodę przełaliśmy do mniejszego garnka i też postawiłam, miałam ochotę na herbatę. Usiadłam przy stoliku i zaczęłam układać plan na dzień.

Gdy pulpety i herbata były gotowe przełożyłam je na talerz i do miseczki – to dla Pecha, jak się wyśpi to zje. Smakowały wyśmienicie. Podejrzewam, że dlatego, że nie jadłam mięsa od prawie dwóch lat, a nie z powodu ich faktycznych walorów smakowych. Kończąc jeść, zauważyłam, że zaczyna świtać. Według planu, który ułożyłam sobie w głowie po pierwsze muszę się dokładnie umyć i pozbyć tych starych i śmierdzących ubrań.

Znalazłam kilka wielkich wiader, wzięłam je i wyszłam w zimny świt. Uruchomiłam studnię i zaczęłam napełniać wiadra po kolei. Gdy każde z nich było już pełne, zaczęłam pojedynczo zanosić je do kuchni i stawiać na blasze. Pech tylko łypał na mnie jednym okiem, jakby chciał powiedzieć - daj spokój ja jeszcze śpię.

Po zrobieniu pięciu kursów tam i z powrotem wszystkie wiadra grzały się już na piecu. Poszłam na górę, żeby przygotować łazienkę do kąpieli. Po około pół godzinie woda, była już ciepła. Zaczęło się wnoszenie wiader po schodach. Na szczęście po wylaniu dwóch wiader do wanny stwierdziłam że jest to wystarczająca ilość wody na kąpiel.

Rozebrałam się, a ubrania wyrzuciłam w kont. Stałam przed ogromnym lustrem. Dziewczyna, która na mnie patrzyła nie przypominała w ogóle tej, którą pamiętam z odbicia w lustrze w moim byłym pokoju. Nigdy nie należałam do piękności, ale zgrzeszyłabym mówiąc że byłam brzydka.

Kiedyś miałam ładne długie, blond włosy, zawsze lśniące, mimo iż chodziłam głównie w spiętych włosach to i tak było widać, że są gęste i zdrowe. Teraz moje włosy są brudne, tłuste, poplątane i zniszczone, brak im blasku. Dawniej miałam zdrową, jasną karnację z lekko zaróżowionymi policzkami i ładnymi dużymi intensywnie niebieskimi oczami, w tej chwili patrzy na mnie dziewczyna o brudno-szarym kolorze skóry, zmęczona, ze zbyt dużymi oczami w porównaniu do wychudzonej twarzy. Ma ona ogromne wory pod oczami a powieki ciężko opadają na oko, które nie jest intensywnie niebieskie tylko takie jakby przygaszone.

Mieszkając w rodzinnym domu często byłam uśmiechnięta, miałam powody, teraz usta mimo iż te same, lekko asymetryczne, teraz mają opuszczone kąciaki. Ciało nie zmieniło się za bardzo, schudłam tylko, a mięśnie na brzuchu i nogach bardziej uwidaczniały. Ciało nabrało też bardziej kobiecego kształtu.

Odwrociłam się na pięcie i weszłam do wanny gdzie była przyjemnie ciepła woda. *Mhm jak przyjemnie* – pomyślałam zanurzając się aż po czubek głowy. Woda od razu przyjęła brudnawy kolor, mimo iż nawet nie zdążyłam się namydlić. Szybko się namydliłam i szamponem umyłam włosy, wypłukałam się polewając głowę i ciało wodą stojącą w wiadrze obok wanny. Patrząc na kolor wody postanowiłam wziąć jeszcze jedną kąpiel. Szybko wypuściłam brudną wodę i umyłam wannę z osadu. Ubrałam przygotowany wcześniej puszysty szlafrok i poszłam po dwa pozostałe wiadra wody. Gdy napelniłam wannę po raz drugi i umyłam się cała jeszcze raz zamknęłam oczy i zaczęłam wspominać.

Nigdy nie byłam typową dziewczyną, nie byłam na żadnej randce, tylko raz byłam na imprezie. Nigdy nie miałam faceta. Całowałam się raz żeby zobaczyć jak to jest. Nigdy też nie interesowały mnie też typowe dziewczęce sprawy jak na przykład makijaż, czy malowanie paznokci, wołałam majsterkować z tatą.

Moja siostra, Sabina, była typową dziewczynką – lubiła lalki i zabawy w salon kosmetyczny, była bardzo ładna. Wysoka, szczupła niebieskooka blondynka o długich falowanych włosach. Mimo, iż była jeszcze dzieckiem – miała zaledwie 14 lat gdy widziałam ją po raz ostatni – to już była łamaczką chłopięcych serc. Lubiła gotować razem z mamą, haftować i malować obrazy. Była... jest artystyczną duszą.

Mój brat, Łukasz, nie był typem stereotypowego mężczyzny, nie miał smykałki do majsterkowania, nie lubił pracować na gospodarstwie, ale także nie interesowały go zajęcia typu gotowanie czy sprzątanie. On żył w swoim świecie. Książki, zwłaszcza podręczniki do fizyki. Interesował się tylko tym, potrafił przesiedzieć w swoim pokoju całe dnie. Mimo iż był ode mnie starszy nie miał żadnej dziewczyny czy chłopka, podobnie jak ja nie interesowały go randki. Jest... był najmądrzejszy w naszej rodzinie. Gdy tylko okazało się, że dostał stypendium na studia wyjechał, nie oglądając się na nas.

Pamiętam, gdy rozmawiałam z nim jak dostał stypendium, było to kilka miesięcy przed wybuchem epidemii, siedzieliśmy na huśtawce w ogrodzie i jedliśmy czereśnie.

- Nic mnie tu nie trzyma. Ja nie jestem im do niczego potrzebny. - powiedział, gdy zapytałam dlaczego tak chętnie nas opuszcza.

- Jak możesz tak myśleć? - oburzyłam się – Rodzice kochają nas po równo i potrzebują nas.

- Potrzebują ciebie – westchnął i wypluł pestki przed siebie.

- Nas – poprawiłm go. Nie powiedział nic, tylko pokręcił głową i zamknął oczy. - No co? O co ci chodzi? - zapytałam ze złością

- Nic, Ala posłuchaj kocham cię i chcę twojego dobra, ale nie mogę już tak dłużej. Od kilku lat tata ciągle mi powtarza jak jesteś ważna i wyjątkowa. Rozumiem to, ale też chcę zrobić coś dla siebie. - mówiąc to patrzył przed siebie nie zaszczycając mnie nawet zerknięciem.

- Nie rozumiem o czym ty mówisz. Nie jestem dla nikogo bardziej ważna czy wyjątkowa niż ty, czy Sabina – powiedziałam ze złością. - To, że ja interesuję się bardziej tymi wszystkimi męskimi sprawami nie oznacza, że tata kocha mnie mocniej. Jeżeli chcesz mogę iść z nim o tym porozmawiać

- Nie! - zaprotestował gwałtownie. Odwrócił głowę w moją stronę i powiedział – Tata, nie może wiedzieć o naszej rozmowie. Rozumiesz? - przytaknęłam powoli – Powiedziałem za dużo w złości. A poza tym – zmienił temat i uśmiechnął się złośliwie wiem o krav madze...

- Co?! - zakrztusiłam się pestką – Skąd wiesz? - zapytałam gdy już udało mi się ją odkrztusić.

- Mój kolega też bierze udział w zajęciach i widział cię tam. Powiedział, że robisz postępy – Wzruszył ramionami

- Powiedziałeś komuś? - miałam na myśli rodziców

- Nie. To twoja sprawa, ale tata na pewno wie. Inaczej już by cię szkolił w sztukach walki – powiedział ze śmiechem

- Czemu tak mówisz? Uczy mnie różnych rzeczy, ale nie po to przecież, żeby zrobić ze mnie żołnierza – Mówiąc to patrzyłam na brata, zauważyłam, że skrzywił się nieznacznie – Prawda...?

- Ala, daj już spokój...

- Nie, ty to zaczęłaś więc mów o co chodzi. - Wstałam z huśtawki i stanęłam naprzeciw niego, żeby nie mógł uciec wzrokiem.

- Byłem rozżalony, dlatego mówię te głupoty. Nie powiem rodzicom o twoim zajęciu dodatkowym, a ty nie wspomnisz o naszej rozmowie. Ok?

- Ala! Chodź pomóż przy obiedzie – zanim zdążyłam coś odpowiedzieć mama mnie zawołała

- Już idę! - odchrząknęłam – Jeszcze wrócimy do tej rozmowy – powiedziałam w kierunku brata i poszłam do domu.

Niestety, nie było już okazji do rozmowy, brat wyjechał dzień później. Potem zapomniałam o tej rozmowie, bo zaczęła się epidemia, ale teraz myślę, że w domu wszyscy o czymś wiedzieli, ale ukrywali to przede mną. Ale dlaczego? Czemu nikt mi nic nie powiedział, a teraz nie mam nikogo, kto mógłby mi powiedzieć co mam teraz robić. Kiedyś myślałam, że tata po prostu lubi spędzać ze mną czas i uczyć mnie tych wszystkich rzeczy, ale teraz mam wrażenie, że po prostu mnie szkolił. On coś wiedział, ale dlaczego akurat ja. Co jest ze mną nie tak?

## Rozdział IV

Woda zaczęła się robić zimna, po szybkim goleniu nóg i obcięciu paznokci, wyszłam owinęłam włosy ręcznikiem i zapakowałam się do puchowego, niebieskiego szlafroka, i udałam się do garderoby. Garderoba była pełna ubrań, w każdym możliwym rozmiarze. Damskie, męskie, dziecięce, bielizna, spodnie sukienki, bluzki, swetry, kurtki, buty i czapki. Na każdą porę roku. W garderobie panował zadziwiający porządek, wszystko było poukładane rozmiarami, więc odszukanie mojego rozmiaru nie zajęło mi wiele czasu. Otworzyłam worek na którym było napisane bielizna i wyciągnęłam komplet bielizny. Szary, bawełniany sportowy biustonosz i majtki – szorty. Wygodne i praktyczne. Do tego założyłam czarne skarpetki. Następnie odszukałam worek ze spodniami. Wyciągnęłam proste czarne sztruksy, nogawki okazały się trochę za długie, więc w ruch poszły nożyczki, którymi wcześniej obciąłam paznokcie. Cięcie nie było zbyt proste, ale na salony się nie wybierałam więc mogło być. Kolejny etap to bluzka. Znalazłam worek z bluzkami na krótki rękaw, wzięłam zwykły, bawełniany podkoszulek w moro i do tego wzięłam ciepłą flanelową koszulę w kratkę.

Mimo iż w planach miałam zostać tu na dłużej, ale nie byłam pewna czy nie będę musiała uciekać, dlatego przede wszystkim postawiałam na praktyczność. Do całości założyłam, brązowe zimowe adidas.

Postanowiłam też od razu przygotować się na ewentualną wędrowną. Znalazłam duży turystyczny plecak w kolorze khaki. Zmieści się do niego więcej niż do mojego dotychczasowego plecaka. Podeszłam jeszcze raz do ubrań i zaczęłam się pakować: kilka par majtek, kilka staników – głównie sportowych, ale znalazłam też dwa śliczne koronkowe, skarpetki, spodnie dresowe, jeansy i sztruksy, krótkie spodnie i jeden śliczny, granatowy kombinezon z górą na ramiączka i krótkim dołem. Bluzki z krótkim rękawkiem, sweter, koszula flanelowa, adidas. Znalazłam jeszcze ciepłą kurtkę zimową i super czarną, skórzaną ramoneskę. Kurtki nie pakowałam tylko przygotowałam sobie na wszelki wypadek. Dopakowałam rękawiczki i czapkę. Plecak był ciężki, ale jeszcze było miejsce na jedzenie i wodę. Zeszłam do spiżarni. Pech już nie spał, oblizywał się, miska w której były pulpety stała pusta i wylizana do czysta.

- Smakowało Ci piesku? - podeszłam do niego i pogłaskałam go po głowie. Odpowiedział machaniem ogona. - Pakuję nas. Chcę zostać tu jak najdłużej Pech, ale musimy być gotowi na każdą ewentualność. Wstałam i poszłam do spiżarni zapakować jedzenie i picie. Wzięłam też opakowanie psich przysmaków, dwie latarki, zapas baterii, zapalki i kilka świeczek. Plecak był ciężki, ale nie aż tak, żeby coś trzeba było z niego wyciągać.

Spakowany plecak, kurtkę, karimatę i ciepły koc położyłam przy tapczanie, na którym spałam i poszłam jeszcze raz porozglądać się po domu. Pod ścianą stała komoda z czterema szufladami, otwierałam je po kolei i przeglądałam zawartość. Większość stanowiły dokumenty – akty własności, numery kont bankowych, akty urodzenia. Właścicielami było starsze małżeństwo Inga i Gotfryd Rołenowie. Według aktów urodzenia mieliby teraz siedemdziesiąt pięć i siedemdziesiąt osiem lat. Z dokumentów, które znalazłam wynikało też, że byli aktywistami i preppersami. A tutaj znajdował się jeden z magazynów. Nie ma wzmianki o dzieciach. To wyjaśniało te zapasy które tu znalazłam.

Jednak najciekawszego znaleziska dokonałam w ostatniej szufladzie. Pod stertą starych gazet leżał cyfrowy aparat fotograficzny i tablet. Aparat był mały, czerwony, widać że starego typu. Z przodu nazwa głosiła, że jest on wyprodukowany przez firmę SONY, w środku znajdowała się karta SD o pojemności 32GB, nie było baterii. W szufladzie był jeszcze futerał na aparat i czytnik kart. Obok leżał tablet, też SO-

NY, nie był naładowany, więc nie wiem czy działa. Ładowarka leżała pod nim.

Wzięłam obie te rzeczy i zaczęłam je oglądać. Poszłam do spiżarni i wyjęłam dwa paluszki AA i włożyłam do aparatu pełna napięcia, czy odpali. Pech przypatrywał mi się uważnie. Zamknęłam wieczko na baterię i wcisnęłam ON, aparat wydał dźwięk i obiektyw się wysunął, a na ekranie pojawił się Pech – bo w jego stronę był skierowany aparat. Przytrzymałam spust migawki, błysnął flesz i pojawiło się zdjęcie psa.

- Pech zobacz, to ty – zawołałam ucieszona. - Chodź, zrobimy sobie wspólne pamiątkowe zdjęcie – podeszłam do psa, przykucnęłam i objęłam go jedną ręką, drugą wyciągnęłam przed siebie i skierowałam obiektyw w naszą stronę. Uśmiechnęłam się i nacisnęłam spust migawki, Pech w tym momencie oblizał mi twarz. - Pech ty łobuzie! - zaśmiałam się radośnie. Pierwszy raz od wielu tygodni. - Weźmiemy aparat i tablet ze sobą. Może kiedyś się przyda.

Po przeszukaniu jeszcze kilku komód i szafek zdecydowałam się iść na podwórko i pozbierać jajka wykopnąć trochę warzyw i znieść do domu kilka wiader wody i trochę drewna na opał. Kury biegały po podwórku, weszłam do ich małego kurnika i okazało się, że w środku są dwie kwoki i małe pisklęta, w pustych gniazdach znalazłam trzy jaja.

Po wykonaniu wszystkich czynności jakie sobie zaplanowałam, okazało się że słońce chyli się już ku zachodowi, musiało być około szóstej wieczorem, a ja nie jadłam nic poza wczesnym śniadaniem i kilkoma jabłkami, które zerwałam z pobliskiego sadu. Pech chodził własnymi ścieżkami, albo leżał na werandzie, albo obwąchiwał wszystko wokół, czasem tylko sprawdzał co w tej chwili robię.

Od północnego-wschodu zbliżały się burzowe chmury. Weszłam do domu i przywołałam psa, po czym zamknęłam za nami drzwi.

- Rozpalę ogień w kominku i pod blachom i przygotuję dla nas kolację. Dobrze Pech? - zabrałam się za rozpalanie ognia w kominku. Moje spojrzenie padło na gazetę leżącą na podłodze obok paleniska.

### *Czarna śmierć sieje spustoszenie na świecie*

*Wszystko wskazuje na to, że największa pandemia w dziejach świata powróciła – wzięłam gazetę i zaczęłam czytać. - Dżuma, bo o tej zarazie mowa, powróciła i zaczyna zbierać swoje żniwo. Jak dowiedział się nasz korespondent i tym razem lekarze nie mogą poradzić sobie z narastającą liczbą chorych. - W szpitalach zaczyna brakować miejsc, a lekarstwa, które do tej pory skutkowały w pojedynczych przypadkach tej choroby, tym razem okazują się nieskuteczne. Najwięcej zachorowań można odnotować wśród osób starszych i u dzieci do lat dziesięciu. - Lekarze zalecają pozostanie w domach i nie przyjmowanie gości. Jeżeli ktoś z domowników ma objawy choroby należy odizolować go od reszty. Od razu należy także zadzwonić pod specjalny numer alarmowy 115 i postępować zgodnie z podanymi instrukcjami.*

*Jednocześnie wojsko prosi o kontakt, wszystkie zdrowe osoby, które od lipca do końca grudnia tego roku skończą 16 rok życia. Osoby te mogą mieć kluczowe znaczenie w wynalezieniu szczepionki przeciw dżumie.*

*Poniżej przypominamy jak wyglądają początkowe objawy choroby i porady jak radzić sobie z nimi w*

warunkach domowych.

*Dalej były już zamieszczone informacje o tym jak przebiega dżuma i jak ulżyć już zarażonym osobą jednocześnie unikając zakażenia. Zmiałam gazetę i wrzuciłam ją do paleniska. Po rozpaleniu ognia w kominiku poszłam do kuchni, aby przygotować dla na obiadokolację. Postanowiłam zrobić jajecznicę, a dla Pecha przygotowałam psie przysmaki.*

*Po zjedzeniu ogarnęło mnie zmęczenie. Czułam te wszystkie nieprzespane noce i kiepskie odżywianie. Nie marzyłam już o niczym innym jak tylko o błogim śnie. Pech wyjadał jeszcze resztę „kulek” z miski, a ja poszłam przygotować sobie posłanie. Gdy posłanie było już gotowe, odwróciłam się w stronę paleniska i zaczęłam dokładać drwa, żeby ogień palił się jak najdłużej.*

*W pokoju panował półmrok, jedyne światło wydobywało się z kominka. Sięgając po kolejną deskę poczułam jak ktoś się do mnie zbliża, niewiele myśląc odwróciłam się na pięcie w kierunku napastnika i uderzyłam go trzymanym przeze mnie kawałkiem drewna w goleń. Mężczyzna zaklął siarczyście, i przykucnął, ja korzystając z chwili rzuciłam się na niego próbując wyrwać mu trzymaną przez niego broń. Podczas szamotaniny pistolet wystrzelił w ścianę. Mężczyznę rozproszyło na sekundę ujadanie i warczenie psa, który zorientował się, że jestem w niebezpieczeństwie, skorzystałam z okazji i kopnęłam go w kroczę i powaliłam na ziemię wyrywając broń z ręki. Szybko podniosłam się z podłogi i wycelowałam pistolet w mojego oprawcę. Niestety okazało się, że nie jesteśmy sami.*

1Fatcat rodzaj noża militarnego

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mermide, dodano 29.07.2015 15:46

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).